



WOJCIECH
CHMIELARZ

RANA

MARGINESY



PRZED SZKOŁĄ

Znowu śniła ten sam sen. Miała w nim sześć lat. Leżała w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod samą szyję i otaczała ją ciemność. Leżała płasko, sztywno. Jak żołnierz w pozycji na baczność. Albo ciało w trumnie. Tylko w trumnie nie jest tak ciepło, lepko i parno. Oddychała płytko, cichutko, ledwo, ledwo. Za to serce waliło. Raz, dwa, trzy. W tempie szalonej perkusji. Raz, dwa, trzy. Jak młot pneumatyczny. Za mocno, za głośno. Zamknęła oczy. Zaciskała powieki z całych sił.

Jakby to mogło pomóc.

Tysiące macek ścisnęło jej ciało. Obslizgłych, wilgotnych. Wiedziała, co się zaraz stanie, i w żaden sposób nie mogła tego powstrzymać. Zaczęła płakać.

Poczuła wilgoć na nogach. Mocz uformował wokół niej rozległą kałużę. Od smrodu zakręciło jej się w głowie. Chwyliła kołdrę. Chciała się pod nią schować, ale nie zdążyła. Otworzyły się drzwi pokoju dziecięcego, mrok przebiły ostre jak żyłki promienie światła i ujrzała skapaną w nich sylwetkę matki.

– Mamusiu – wyszeptła.

Matka ruszyła w stronę łóżka. Ciemność drżała przy każdym jej kroku. Matka była wielka. Matka była przerażająca. Ale pomimo tego ona ją kochała, bo miała tylko sześć lat, a kiedy masz sześć lat, to nie potrafisz inaczej. Ten wielki, przerażają-

cy potwór jest całym twoim światem i zrobisz wszystko, żeby tylko go zadowolić. Będziesz ładną, grzeczną dziewczynką. Nauczysz się każdego wierszyka. Będziesz siedzieć cichutko na ławce w parku, żeby tylko nie pobrudzić grubych rajstop i brzydkiej sukienki, samotna i opuszczona, kiedy inne dzieci będą biegały radośnie po placu zabaw. Będziesz błada, smutna i nieszczęśliwa. Byle zasłużyć na jedną pochwałę. Na jedno życzliwe spojrzenie. Bo kiedy masz sześć lat, matka jest wszystkim, a poza nią nie ma niczego.

Ale nie potrafisz zapanować nad własnym pęcherzem.

– Znowu...

Matka to powiedziała czy te słowa po prostu wybuchły w jej głowie?

– Wiesz, co masz zrobić?

Wiedziała i chciała, ale nie mogła. Ciało zmieniło się w kamień. Odmówiło współpracy. Greczna dziewczynka ciągle gdzieś tam tkwiła, skulona w kąciku własnego umysłu, jednak władzę nad całą resztą przejęło przerażone, spocone zwierzątko, które potrafiło tylko się trząść i bełkotać.

– Przepraszam... – wyjąkała. – Przepraszam...

Matka. Potwór. Mamusia. Poderwała kołdrę.

Nie wiedziała, dlaczego jest goła, bo zawsze kładła się spać w pidżamce, ale teraz była naga. Naga i brzydka. Wiedziała, że jest brzydka, bo matka to mówiła. Brzydka i zła dziewczynka. Nierzeczna i niewdzięczna. Tak mówiła matka, a skoro matka tak mówiła, to musiała być prawda. Bo ona miała tylko sześć lat, a kiedy masz sześć lat, to każde słowo matki jest szczerą prawdą. Jedyną, jaka istnieje.

Naga i brzydka. Nierzeczna i niewdzięczna. Zła i złośliwa. Oto ona.

Matka chwyciła ją za ramię. Poderwała w górę. Mocno, jakby chciała je wyrwać, a potem rzuciła prosto na łóżko. Wcisnęła jej

twarz w kałużę moczu. Tarła nią o szorstkie, mokre prześcieradło, które teraz zmieniło się w papier ścierny.

(Babcia kiedyś oduczyła tak sikać kota w domu. Chwycała zwierzę, wsadziła mu pysk w siki. Skoro zadziałało na kota, powinno zadziałać też na dziecko. Dziecko jest mądrzejsze. Powinno szybciej zrozumieć, że nie sika się do łóżka. Kot zrozumiał już za pierwszym razem. Ona nie. Była naga. Była brzydka. Niegrzeczna, niewdzięczna, zła i złośliwa. I przede wszystkim głupia. Głupsza od kota).

Matka uniosła rękę. W dłoni trzymała pas. Ona знаła ten pas. Jego zapach, ostry, nieprzyjemny. Każdą nierówność na skórzanej powierzchni, która odbijała się na jej ciele. Krawędzie, które wrzywały się jak żyłki. Pas należał do taty, a taty nigdy nie było w domu.

Znała ten pas lepiej niż twarz własnego ojca.

Zwierzátko zaskomlało. Dziewczynka chciała poprosić, żeby tym razem było bez sprzączki. Sprzączka jest najgorsza. Najstraszniejsza. Wielka, metalowa, masywna, ostra i bezlitosna. Po tym całym gniecieniu, biciu, miętoleniu jej skóra się zmieniła, stała się cienka niczym papier. Zniknęła cała tkanka tłuszczowa. Wszystko, co mogłoby uchronić przed razami. Zostały same gołe nerwy. Tylko to, co jest potrzebne do przekazywania bólu. Znowu się zsikała. Tym razem ze strachu i tym przypieczętowała swój los. Sprzączka zabłysła w promyku światła niczym oko węża. A potem spadła prosto na nią ze świstem i ciemność dziko zawyła.

Obudziła się z tego snu tak jak zawsze. Bez krzyku, choć zachłyśnięta powietrzem, jakby się topiła, ze wrokiem wbitym w bladą plamę sufitu. Przez ciało przepływały kolejne fale strachu. Za każdym razem ten moment trwał dłużej. O sekundę, może ułamek. Ale dłużej. Klementyna wiedziała, że to właśnie ją zabije. Nie żaden nowotwór. Nie cukrzyca czy pijany kierowca na pasach, ale właśnie ten sen. I przerażenie, które nie będzie jej opuszczać

przez długie minuty po przebudzeniu, aż wreszcie umęczone serce rozpadnie się na kawałki.

Klementyna powoli wstała z łóżka. Oparła się dłonią o ścianę i długo oddychała. Przyzwyczajała wzrok do panującego w mieszkaniu półmroku, aż wreszcie wyłowiła w nim leżącą na komodzie torebkę. Wyjęła z niej paczkę papierosów i zapaliki. Wyszła na balkon i natychmiast skuliła się z zimna pod podmuchem wiatru. Drżącymi rękoma włożyła fajkę do ust. Przez chwilę po prostu tak ją trzymała, zastanawiając się, czy zapalić. Papierosy znów podrożały. Nawet te z bazaru. Ale te na bazarze też było coraz trudniej znaleźć. Zresztą polikwidowali targowiska. Zamknęli stadion dziesięciolecia, nawet bazar Różyckiego, a ona miała w sobie jeszcze tyle godności, żeby nie biegać po całym mieście w poszukiwaniu tanich fajek. Nie różniłaby się wtedy niczym od meneli z parteru.

Kolejny powiew wiatru sprawił, że tęsknie spojrzała na wnętrze pokoju. Mieszkała teraz sama. Mogłaby zapalić w środku. Przecież matka nie wygoni jej już na balkon i nie będzie głądzić nad uchem, że przez te fajki umrze szybciej od niej.

Myliła się.

Klementyna uśmiechnęła się lekko na tę myśl, a potem zaraz zmartwiła, bo jednak postąpiła niestosownie. Zrobiła krok w stronę drzwi balkonowych, ale zaraz się zatrzymała. Nie potrafiła jeszcze złamać matczynego zakazu. Był jak niewidzialna bariera, której nie dało się przekroczyć.

Ze złością odpaliła zapalnik. Schowała płomień we wnętrzu dłoni, a potem wyrzuciła przed siebie płonący jeszcze patyczek. Ogień zgasł po przeleceniu ledwie dwóch metrów.

Zaciągnęła się głęboko, czując, że dym wygania z niej resztki strachu. Oparła się na metalowej balustradzie i patrzyła na sunące ulicą nieliczne samochody. A jej serce, pokryte gęstą siecią niewidzialnych blizn, powoli odzyskiwało spokój.

LEKCJA PIERWSZA

– Pomoże mi pani?

Spojrzała na stojącą tuż obok staruszkę. Kobieta musiała być w wieku niedawno zmarłej matki Klementyny. Wyszuszone, pomarszczone, przygarbiona, w brzydkich butach, za długim płaszczu i rozerwanej reklamówce z Biedronki na głowie, chroniącej przed zimnym deszczem.

– Strasznie ślisko dzisiaj – wyjaśniała przeproszającym tonem.

– Ależ oczywiście – powiedziała Klementyna.

Staruszka wzięła ją pod rękę i ścisnęła za dłoń. Nie miała rękawiczek. Jej skóra była miękka, jakby z waty, lekko obwisła, nieprzyjemnie nierówna. Klementyna potrafiła wyczuć niewielkie, tłuste zgrubienia, miękkie guzki. Przeszedł ją dreszcz. Pomyślała, że za niedługo też ją to czeka.

Taka brzydka starość. Kiedy ciało zaczyna się kurczyć, zwijać, porastać krostami, włoskami i po prostu śmierdzieć. To chyba ten zapach najbardziej przerażał. Coś jakby mieszanina naftaliny, mocz i śmierci. To dlatego starsze kobiety, jeśli tylko mogły sobie na to pozwolić, wylewały na siebie te ciężkie piżmowe perfumy.

– Ja panią przeproszam, ale ja się boję – wyjaśniła staruszka. – W moim wieku to człowiek się przewróci, poślizgnie i łup, biodro złamane. A jak biodro złamane, to się już można do trumny kłaść.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Klementyna.

Przechodziły właśnie nad głęboką kałużą tuż przy krawężniku. Brodziły w szarej brei na wpół roztopionego ciemnego śniegu, pokrywającego białe pasy przejścia dla pieszych. Staruszka wyrzucała z siebie raz po raz krótkie, płytkie oddechy. Jak maszyna, która próbuje zaskoczyć. Klementyna pomyślała, że to pewnie coś z płucami. Nowotwór. Rozedma. Gruźlica. Podobno na nowo zbierała żniwo. A może po prostu banalne zapalenie. Wszystkie te choroby, które czekają również ją. I to nie w trudnej do przewidywania przyszłości, ale za lat pięć, góra dziesięć.

– Wezmę od pani tę siatkę – powiedziała.

– Strasznie pani miła.

Kobieta podała ciężką torbę, wypełnioną po brzegi zakupami. Ważyło to chyba z pięć kilogramów. Klementyna poczuła ukłucie zazdrości. Jej lodówka była niemalże pusta. Został tylko skrawek żółtego sera oraz słoik dżemu. Ostatni kawałek szynki, jaki miała, zrobił się obslizgły, nieprzyjemnie pachniał. Bez żalu rzuciła go ptakom.

– Straszna jest ta pogoda – stwierdziła staruszka, wyszarpując z siebie słowa pomiędzy oddechami. – Niby na plusie, a zimno... zimno... no, zimno jak skurwysyn. Pani mi wybaczy, ale tak się dzisiaj mówi, prawda?

Klementyna skinęła głową. Przeszły na drugą stronę ulicy i skręciły w lewo. Nie przeszkadzało jej to. I tak szła w tamtą stronę. Wędrowały wąskimi uliczkami starego Mokotowa.

– Dla mnie to nie jest zima. W zimie to ma być zimno. Poniżej zera. Śnieg. Wtedy da się żyć. A to, co teraz jest... Ech... Ledwo coś spadnie, a jeśli spadnie, to zaraz się topi. I potem jest taki brud. Takie nie wiadomo co! A pani wie, co jest najgorsze?

– Co takiego?

– Że przez tę ciepłotę żadnych bakterii nie wymrozi. Bo to musi być mocno poniżej zera, żeby te wszystkie wirusy, te wszyst-

kie bakterie pozdychały. A w takich temperaturach to one mają jak na wakacjach. I przez to tak ludzie chorują. Pani zobaczy. Kiedyś tak nie chorowali.

– Chyba tak – zgodziła się Klementyna. Wiedziała, że to najlepsza strategia podczas rozmów z takimi starszuskami. Potakiwać grzecznie, potwierdzać, zgadzać się mechanicznie. One i tak nie słuchały. Musiały powiedzieć swoje. Wyrzucić z siebie stopy słów, które zbierały się w nich całymi dniami. Jakby się bały, że inaczej się zmarnują. Mama była dokładnie taka sama.

– Pani wybaczy, ale ja tutaj – powiedziała. Wskazała na duży, dwupiętrowy przedwojenny budynek ze sporym poddaszem. Potem podała kobiecie torbę z zakupami. Ona jednak jej nie wzięła. Zrobiła lekko zmartwioną minę. – Miałam nadzieję, że odprowadzi mnie pani do domu – wyjaśniała. – Ślisko jest, ta torba ciężka. A to już blisko.

Klementyna uśmiechnęła się przepaszająco.

– Nie dam rady. Jestem umówiona.

– W tej szkole? – domyśliła się starszuszka.

– Tak.

Starszuszka zmarszczyła czoło tak mocno, że reklamówka z Biedronki nasunęła się jej na oczy.

– Niech pani nie puszcza tam swojego dziecka – powiedziała. – Tam źli ludzie pracują. Nie warto. Niech pani znajdzie normalną szkołę dziecku... – przerwała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, na ile lat wygląda Klementyna – ...wnukowi może. Przepraszam, to nie moja sprawa, dziecko, wnuk...

– Pani wybaczy, ale muszę już iść.

Potrząsnęła zakupami, by ją trochę pospieszyć, i zaraz się zastydziła. Gest był niepotrzebny i nieuprzejmy. Kobieta wzięła torbę.

– Dziękuję pani za pomoc. – Pokiwała głową. – Ale dziecka to niech pani tam nie posyła. Bardzo proszę.

Klementyna, patrząc, jak staruszka drobi, ostrożnie stawia kroki i chwije się pod ciężarem siatki z zakupami, poczuła w sercu bolesny wyrzut sumienia. Idiotyczny, bo przecież pomogła tej kobiecie. A nie mogła się spóźnić na to spotkanie. Nie, biorąc pod uwagę jej sytuację.

Zadzwoniła domofonem przy bramie. Przedstawiła się. Powiedziała, z jaką sprawą przychodzi. Rozległo się nieprzyjemne, metalowe brzęczenie i wpuszczono ją do środka.

Zeliwne szpikulce wysokiego płotu, otaczającego podwórko, dźgały powietrze, a na kamiennych słupach umieszczono drobne, ostre drucziki, które bardziej niż włamywaczy miały odstraszać ptaki. W przestrzeń pomiędzy potężnymi drzewami wkomponowano zgrabnie plac zabaw dla dzieci: huśtawki, małe ścianki do wspinania, boisko do koszykówki z jednym koszem. Pomiędzy nimi prowadził szeroki chodnik z czerwonej kostki.

Klementyna podeszła do ciężkich, wysokich drzwi prowadzących do wnętrza budynku. Otworzyły się przed nią automatycznie z cichym, nieprzyjemnym szumem elektrycznych urządzeń. W środku przywitał ją starszy mężczyzna z siwym wąsem, granatowy strój przypominał mundur.

– Pani do pani dyrektor? – zapytał.

– Tak.

– To pani się tutaj wpisze, dobrze?

Spod niewielkiego stolika wyjął gruby zeszyt formatu A4 i podsunął Klementynie. Znalazła odpowiednią rubrykę i wpisała swoje imię, nazwisko oraz godzinę wejścia.

– Proszę pójść na pierwsze piętro, a potem zaraz na lewo, do sekretariatu – powiedział ochroniarz.

– Dziękuję.

Uderzyła ją cisza, kiedy szła nadspodziewanie wąskim i dziwnie czystym korytarzem. Na ścianach pomalowanych na spokojny beżowy kolor zawieszono tablice edukacyjne oraz ogłoszenia o kon-

kursach naukowych i osiągnięciach najzdolniejszych uczniów. Za to schody były drewniane. Skrzypiały pod każdym krokiem.

Zastukała do drzwi sekretariatu.

– Proszę!

Weszła do środka. Dwie sekretarki siedziały za ustawioną na przeciw ladą i stukały w klawiatury komputerów. Jedna z nich, blondynka w wieku około czterdziestu lat, poprawiła włosy i spojrzała na Klementynę ciężkim, zmęczonym wzrokiem.

– Tak?

– Klementyna Jastrzębska – przedstawiła się. – Jestem umówiona na rozmowę o pracę.

Sekretarka sięgnęła po telefon.

– Noż kurwa mać! – ryknął ktoś z pomieszczenia obok. Na drzwiach widniała połączana tabliczka z napisem „Dyrekcja”. – Ile razy mam ci to tłumaczyć?! To są, kurwa, wpływy, to są koszty. To pierwsze ma być większe od tego drugiego, do jasnego chuja!

– Nie odzywaj się tak do mnie! Nie u mnie w gabinecie! Nie wolno ci!

Pierwszy głos, mocny, należał do mężczyzny. Drugi, niebezpiecznie ocierający się o granicę hysterii, do kobiety.

– Ale muszę, kurwa! Bo jak mówię spokojnie, to do ciebie nie dociera!

– Masz w tej chwili przestać!!!

– Bo co?!

Klementyna odpowiedzi już nie usłyszała, bo kłócąca się dwójka ściszyła głos. Sekretarki posłały sobie znaczące spojrzenia. Potem blondynka zerknęła na nią, otworzyła usta, jakby chciała skomentować całą sytuację, ale zaraz chyba uznała, że lepiej tego nie robić, bo gwałtownie je zamknęła i zaczęła intensywnie stukać w klawisze klawiatury.

Klementyna dałaby wiele za szklanekę zimnej wody i krzesło. Była zdenerwowana, a kłótnia, której stała się właśnie świadkiem,

jeszcze tylko ten stan pogłębiła. Wzięła torebkę w obie dłonie i trzymała ją przed sobą niby tarczę. Ścisnęła, żeby ukryć drżenie rąk. Przez moment zastanawiała się, czy nie wyjść. Z rozmowy o pracy pewnie nic nie wyjdzie. Ona zamieniła się w strzępek nerwów, a dyrektorka pewnie nie będzie miała teraz głowy do rozmowy z potencjalną pracownicą. W najlepszym wypadku szybko się jej pozbędzie. W najgorszym i najbardziej prawdopodobnym spróbuje się na niej wyżyć. A potem Klementyna przypomniała sobie stos piętrzących się na stole rachunków i pustki w lodówce. Nie mogła pozwolić sobie na ucieczkę. Dostała szansę od losu. Musiała przynajmniej spróbować.

Drzwi pokoju dyrektorki otworzyły się gwałtownie i uderzyły z hukiem o ladę. Czarnowłosa, lekko opalony mężczyzna w szarym garniturze zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na pracującą za ladą kobiety, nagle machnął gniewnie ręką i wyszedł z sekretariatu.

Klementyna dostrzegła w głębi gabinetu szafy z dokumentami, kilka dyplomów, krzesło ze skórzanym obiciem i stare, ciężkie, dębowe meble. Brakowało tylko dwóch szabli zawieszonych na ścianie i gabloty z orderami.

– Czy powinnam...? – zapytała szeptem blondynki, ale ta tylko pokręciła przecząco głową i gestem dała znak, żeby była cicho.

Po kilku minutach Klementyna usłyszała szuranie odsuwanego krzesła i charakterystyczny dźwięk szpilek uderzających o podłogę. W progu pojawiła się dyrektorka. Ubrana w szarą garsonkę wysoka, szczupła kobieta o sięgających do ramion brązowych włosach, twarzy pokrytej grubą warstwą kosmetyków i ustami napuchniętymi od kwasu hialuronowego. Ściągnęła okulary w czarnej oprawie.

– Pani Klementyna? – zapytała sucho.

– Tak. Dzień dobry.

– Zapraszam do mojego gabinetu.

Nie czekając na reakcję, wróciła do siebie. Klementyna zerknęła szybko na sekretarki, szukając u nich wsparcia, porady albo chociaż odrobiny życzliwości. Zamiast tego blondynka pospieszyła ją gestem.

 – Pani dyrektor nie lubi czekać – wyszeptała.

Podobno czas leczy rany. Jednak niektóre nigdy się nie zblizniają.

Najpierw pod kołami pociągu ginie Marysia, uczennica ekskluzywnej prywatnej szkoły na warszawskim Mokotowie. Jej nauczycielka, Elżbieta, rozpoczyna prywatne śledztwo, ale wkrótce sama ginie, a ciało znika. Jedynymi osobami, które cokolwiek widziały, są Gniewomir, nieprzyستosowany społecznie chłopak zafascynowany seryjnymi zabójcami, i Klementyna, nauczycielka na życiowym zakręcie, której wydaje się, że praca w poważanej szkole to uśmiech od losu. Nic bardziej mylnego.

Żadne z nich nie chce angażować się w tę sprawę – każde z nich ma swoje powody – ale żadne nie ma wyjścia. Gdyby wiedzieli, dokąd zaprowadzi ich to śledztwo, nigdy by się na to nie odważyli. Szkoła okazuje się pełna tajemnic. Podobnie jak pracujący w niej nauczyciele...

Rana boli. Dotyka do żywego. A jednocześnie wciąga. Ta powieść szuka genezy zła – bez moralizowania, bez tanich wniosków. Chmielarz w sposób niezwykle barwny i odważny potrafi odmalować piekło: to polskie, pełne korupcji, nielegalnych interesów i mętnych zależności, oraz ludzkie – to, jakie człowiek potrafi zgotować najbliższemu.

Kinga Dębska, REŻYSERKA

cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

w sprzedaży także

